**Drugi nakład po konfiskacie.**

Nr. 53. Kraków, sobota dnia 16. czerwca 1900. Rok III.

# OBRONA LUDU

tygodnik stronnictwa chrześcijańsko-ludowego.

**Wychodzi co sobotę.** Kosztuje rocznie 4 kor., półrocznie 2 kor. Numer pojedynczy kosztuje 20 hal. Listów nieopłaconych nie przyjmuje się.

Bióro bezpłatnej porady prawnej dla ubogich prenumeratorów „Obrony Ludu“ jest otwarte codziennie rano i popołudniu. Kraków, ul. Pijarska 2.

Redakcya i administracya znajduje się w Krakowie ul. Pijarska l. 2.

Ogłoszenia po 10 h. od wiersza półszpaltowego. Wszystkie listy i pieniądze przesyłać należy pod adresem: **Administracya „Obrony ludu“, Kraków ul. Pijarska l. 2.**

PIJAŃSTWO JEST ŹRÓDŁEM ZBRODNI I NĘDZY!

## Pochwalony Jezus Chrystus!

**Konfiskata.** Ostatni numer *Obrony Ludu* znowu skonfiskowała ck. Prokuratorya Państwa w Krakowie. Skonfiskowała za artykuł z całym spokojem napisany o wadach naszej żandarmeryi i o środkach postawienia tej instytucyi na właściwym i odpowiednim stopniu.

**WPana Naprokuratora Wędkiewicza** upraszamy publicznie, aby raczył zwrócić swoją uwagę na skonfiskowany artykuł i wydał sam sąd o tej konfiskacie. Konfiskatę tę bowiem musimy uważać za bezpodstawną, a dowodzi tego następujący fakt: Gdy chłopak z drukarni przyniósł obowiązkowy numer *Obrony* i wręczył go p. prokuratorowi, wtedy prokurator zobaczywszy tylko tytuł „*Nasza żandarmerya*,“ zaraz, nawet **nie** czytając artykułu, powiedział: „o, będzie dzisiaj *Obrona* płakała.“ Nim zażądamy satysfakcyi w Wiedniu od obcych, domagamy się jej najpierw od swoich i wyrażamy nadzieję, że p. Nadprokurator przypomni podwładnym swoim panom, co się do konfiskaty nadaje, a co nietylko gwałci ustawę, ale ujmę przynosi samej instytucyi, powołanej stać na straży prawa.

## ZJEDNOCZENIE LUDU.

Im bliżej nowych wyborów do Sejmu, tem gorącej i częściej odzywają się głosy i na zgromadzeniach i w pismach ludowych: „Łączcie się wszyscy w jedną gromadę, w jedną silną armię i idźcie razem, solidarnie na wspólnego wroga, do zwycięstwa i chwały!“ Każdy rozsądny człowiek widzi jak na dłoni, że połączenie stronnictw opozycyjnych u nas stanowi zwycięstwo sprawy ludowej w kraju naszym, a klęskę stańczyków, lokajów każdego rzędu, rozmaitego rodzaju kamerdynerów i malowanych katolików. Więc wszyscy ludzie dobrej

woli, wszyscy prawdziwi patryoci, miłujący Ojczyznę nie gębą, ale sercem i pracą dla Niej szczerą i serdeczną — wszyscy nawołują: łączcie się, pogódźcie się, podajcie sobie braterską dłoń — a zwyciężycie. Odetchnie kraj, odetchnie lud, świeże, zdrowe powietrze powionie po ziemi tej nieszczęśliwej, której więcej krzywdy wyrządzili wyrodni jej synowie — ta tak zwana „starsza brać,“ aniżeli moskale i prusacy razem wzięci. — Krakowskie pismo *Mieszczanin* umieściło cały szereg rozumnych i zdrowych artykułów, nawołujących do zjednoczenia stronnictw ludowych; *Związek chłopski* od dłuższego czasu nawołuje: chodźmy razem wszyscy pod hasłem: bij stańczyka!“ *Obrona Ludu* jeszcze przed rokiem postawiła wniosek, aby lud z całego kraju wysłał swoich delegatów na wielki wiec ludowy i aby na tym wiecu uchwalono zjednoczenie, uchwalono program jednolity i wybrano wodza dla całego ludu. Setki listów i kart leżą w naszej Redakcyi, gdzie lud z całego kraju przyklasnął naszej myśli i wnioskowi. Lud w całym kraju nie tylko jest za zjednoczeniem, ale wprost domaga się i żąda zjednoczenia. Więc co i kto stoi na przeszkodzie zjednoczenia? Na przeszkodzie stoją sami przewodnicy ludu, bo różnica programów jest tak mała, iż tylko trochę dobrej woli, a porozumienie co do programu łatwo się znajdzie. Zresztą co tu dużo gadać o programach, gdzie wspólna nędza i bieda gnębi kraj cały, gdzie wyciskują z ciebie ostatnią kroplę potu. Programem ludu jest praca, aby raz lepiej było, obrona przed krzywdzicielami, równy wymiar sprawiedliwości i prawa, programem ludu: zdobycie chleba dla głodnych. Oto program, na który się wszyscy zgodzą. Kto stoi na zawadzie, aby raz lepiej i lżej było? Na zawadzie stoją stańczyki. Oni w swoich rękach trzymają rządy, oni doprowadzają kraj do ruiny, oni wydali kasy krajowe na łup złodziei, oni nas skompromitowali przed światem, oni doprowadzili lud do rozpaczy i głodu, oni są przyczyną, że lud tysiącami ucieka z roli ojczystej — oni okazali przez lat 30, że rządzić nie mają głowy do tego, ani sumienia czystego. Więc należy rządy z rąk stańczyków odebrać, inną, nową, lepszą gospodarkę w kraju zaprowadzić, a tymsamem ratować kraj i naród od zniszczenia. W jaki sposób — zapytacie — zdobyć się rządy? Za pomocą wyborów. Kto przy wyborach zdobędzie większość, kto zdobędzie więcej mandatów, kto wybierze więcej swoich posłów, ten dostaje następnie rządy w swoje ręce. Stańczyki dotąd mają większość w Sejmie, mają większość w Radzie Państwa i dlatego mają rządy w swoich rękach. Odbierzmy im mandaty poselskie, a odbierzemy także i rządy. Od nas więc samych, od ludu zależy, czy zechce zwyciężyć i rządzić. Jeżeli cały lud polski pójdzie solidarnie i zgodnie — to zwycięży. Trzeba jednak zjednoczenia i zgody, trzeba jedności i braterstwa, trzeba poświęcenia osobistych ambicyj i zaparcia się.

# WOJTEK W RZYMIE.

Jeden z naszych znajomych przysyła nam następującą ciekawą rozmowę, jaką miał z Wojtkiem S., powracającym z Rzymu.

— A gdzież to, ojcze?

— Ha, proszę pana, wracamy do domu z pielgrzymki. Byliśwa w Rzymie.

— No i jakże wam się tam podobało?

— E, co się tam miało podobać! Jeść nam dawali, żeby świniom u nas tego nie dał. Cały dzień nic, ino groch a bób, a soczewicza. Utrapienie boże.

Kobieta, siedząca obok z zawiniątkiem na plecach, zmęczone, mizerne biedactwo, wtrąca się:

— Wojtuś, co też ty mówisz? Odpust stracisz!

— Dajcie spokój, matko. Byle mówił świętą prawdę, a Pana Boga nie obrazi i odpustu nie straci. Co prawda to nie grzech.

— Kiej nie było tak źle, jak on powiada. Przeciek dawali mięso i chleb.

— Ele, co za mięso. Pan Bóg wie, z kogo. Takie to było paskudztwo, żem ani do gęby nie mógł wziąć. A chleba to dawali pół bółki za grajcar. Umyślniem wziął na pamiątkę jedną. (Wyjął okaz z kieszeni. Baby pokiwały głowami). Dawali ten groch i soczewicę trzy razy na dzień, ale żeby człek nie miał swoich pieniędzy, toby zmarniał.

— Długoście byli w Rzymie?

— Dziesięć dni, proszę pana. Ale poco to było? Za dwa dni tośmy już byli gotowi z pielgrzymką. Potem ino jechać. Tylko, że to niby człek zapłacił tych 57 papierków naprzód za dziesięć dni, trzeba było zostać. Ale było nas sporo takich, cośmy chcieli zaraz do domu, ino żeśwa nie wiedzieli, jak się ruszyć.

— Tak się przykrzyło?

— Przykrzyło — nie przykrzyło... Ale — co? Ni-to zjeść, ni się rozmówić. Po taliańsku gadać nie umiemy, a taliany, choć dobry naród, ale po naszemu nie rozumie. Tyla, żeśmy chodzili po kościołach.

— Ładne kościoły, co?

— Ho, ho, że też ładne, a wielkie! U świętego Piotra tyle placu, żeby cały Kraków schował. A jakie tam cudności! Ino że, tyla narodu zawsze było, że ani dychać, ani stać spokojnie, a o modleniu — to już ani gadania.

Kobieta znowu się wtrąciła:

— Co też ty Wojtek zaś pleciesz? Chyba tyś się jeden nie modlił, bo zresztą wszyscy. Nie pomstuj, bo ściągniesz karę Bożą na siebie i na dzieci.

— Prawdę świętą mówię. Babie to wszędzie dobrze. Będzie jeść ochłapy i da się poniewierać, a zawsze myśli, że tak musi być. Sumiennie powiadam, że jakbym wiedział naprzód, co to jest ta pielgrzymka, tobym nigdy nie pojechał. Kiej chcę pochwalić Pana Boga, lepiej go pochwalę w naszym kościele, niż u świętego Piotra.

Kobieta aż się przeżegnała:

— Jeszcze narzekasz? Ojca świętego nie widziałeś?

— Ale, ale ojcze — wtrąciłem — ojciec święty zdrów?

— A zdrów, zdrowiuteńki, dzięki Bogu (zdejmuje kapelusz). Był z nami u świętego Piotra.

— Jakże to było? Powiedźcie mi od początku, bo kiedym ja był w Rzymie, właśnie był chory i nie mogłem go widzieć.

— O, to szkoda, bardzo wielka szkoda. Ale kiedy od początku, to od początku. Jakeśmy przyjechali do Rzymu, kazali nam wsiadać na wozy

po czterech. Furman brał od każdego po jednej lirze, bo tam, co u nas korona, to tam lira. No, my wsiadali, a on sam wiedział, gdzie ma jechać. Byli z nami dwaj biskupi, z Krakowa i Przemyśla, oni to już naprzód tak zrychtowali. Dali nam noclegi po domach u rozmaitych ludzi, a rano o szóstej trza było wstawać i do kościoła. Są tam w Rzymie nasi polscy księża i tacy, co się uczą na księży — i oni nas potem zabierali po kilkadziesiąt i po sto narodu i prowadzili do szopy, gdzieśmy dostawali jeść. Ej Boże, co to za jedzenie! Nic, ino groch, bób i soczewicza.

— Pokazywali wam ci księża także inne kościoły?

— A pokazywali. Ale co ta z tego człowiek widział. Żeby nas było mniej, toby zobaczył, ale w takiej gromadzie!.. A kościołów tam okropna siła. A księży... Gdzie się człek spojrzy, wszędzie ksiądz, albo czarny, albo niebieski, albo czerwony.

— A byliście w Watykanie, tam, gdzie ojciec święty mieszka?

— W „Antykonie“ tom nie był, ale moja baba była.

— I cóżeście tam matko widzieli?

— Byli tam wojaki ojca świętego. Ale zresztą tom nie widziała dużo, bo nas nie puszczali dalej.

— No, a ojca świętego?

Wojtek podparł się z powagą na swoim pielgrzymim kosturze i zabrał głos:

— Spakowali nas u świętego Piotra i kazali czekać od rana do południa. Było nas Polaków dwa tysiące i dwieście chłopów i „babów,“ ale przyszła jeszcze moc talianów i rozmaitych szwabów i zrobił się taki ścisk, że ani powietrza złapać. Widziałem go dwa razy. Przyniosło go dwanaście chłopa na takich — niby marach. Sześciu niosło z przodu, a z tyłu też sześciu. A ojciec święty siedział na wierzchu na tronie. A taki blady i suchy, jak szczapa. Przybrany był caluteńki biało i na głowie miał taką białą, niby jarmułkę. Taki mały, jak dziecko. Przed nim i za nim szli rzymscy biskupi w czerwonych sutannach, z świecami, a on ino się uśmiechał i kiwał ręką. A jak go wnosili to naród robił taki gwałt, że się ledwie kościół nie zawalił. Taliany klaskali w ręce, a szwaby krzyczeli „*hoch.*“ Potem, jak stanęli, ojciec święty wstał z tronu i pobłogosławił nas. A potem zaś nawrócili i wyszli z nim na dwór, a naród znów gwałtował.

— Muzyka była?

— Nie było nijakiej muzyki, ino wojska było w kościele cała chmara, trzymali porządek. Mają piękne mundury i szykowny „adjustyrunek.“ Ale nasi taki lepsi... Byliśmy też na jednem kazaniu tego biskupa z Przemyśla. Proszę pana, co to było za kazanie! Dopiero człowiek widział, że inne kazania, to tylko „klajnikajty.“ Jak on przemówił, to naród płakał, że aż...

— Koniec końców, ojcze, rad jesteście, żeście byli w Rzymie. Widzieliście dużo nowości. Ojciec święty was błogosławił, odpust macie. Będzie co opowiadać w domu.

— Ta, proszę pana, niby jest prawda. Ale zawsze człowiekowi już lepiej, że bliżej swoich. W końcu tośmy ino czekali tego piętnastego maja. A jak nas we wtorek wpakowali do wagonów, tośmy dopiero dziś wysiedli. Ani to siedzieć, ani leżeć, ani stać. Pełno nas było, że aż strach. Nie było co przez drogę ani zjeść, ani wypić, bo za szklankę piwa zaraz 15 i 20 centów. Tyle, cośmy mieli z sobą, chleba trochę, bo w Rzymie czło-

wiek ani poniuchał kiełbasy. Za tysiące by jej tam nie dostał. Kupiłem sobie różaniec i tyle mego.

— A na drugą pielgrzymkę pojedziecie?

— Oho, za nic w świecie! Mamy wszyscy dość. Dobre to było, ale tylko jeden raz.

# POUCZENIA PRAWNE.

## (Nowe rozporządzenie w sprawach spadkowych).

Gdy w roku 1898 wprowadzono w Austryi nową procedurę, podniosły się głosy za zreformowaniem jeszcze postępowania spadkowego. Ważny to bardzo dział sądownictwa niespornego i nie ma niemal u nas człowieka, któryby ze sądem, jako władzą spadkową, lub opiekuńczą, nie miał do czynienia. Ten więc dział sądownictwa, zwłaszcza, tak ważny przy sądach powiatowych, znajdował się zawsze i znajduje w zupełnem zaniedbaniu, zawsze był traktowany przez sfery decydujące po macoszemu i nie dziw, że często słyszeć można w sądzie strony narzekające, że już 15 lub 20 lat ciągnie się postępowanie w jakiejś sprawie spadkowej, a dekretu dziedzictwa jeszcze nie ma.

Nie da się zaprzeczyć, że byli niektórzy, którym ten stan zaniedbania działu spadkowego był wiadomym, że chcieli go podnieść z upadku, zreformować, lecz ich zabiegi rozbijały się zawsze o sfery najbardziej decydujące, które znowu zasłaniały się brakiem funduszów na pomnożenie personalu sędziowskiego.

Mam tu na myśli d-ra Tchórznickiego, który już dawno myślał o tem, ażeby ten opłakany w Galicyi sposób prowadzenia pertraktacyj spadkowych zmienić. Wiadomo wszystkim, że dotąd sąd, otrzymawszy zawiadomienie o śmierci czyjejś, dawał notaryuszowi polecenie spisania aktów spadkowych, również wiadomo wszystkim, jak bardzo ci notaryusze nie spieszyli się z wykończeniem tego polecenia i nieraz sąd był zmuszony całemi latami wzywać ich, nakładać kary, nim wreszcie wydusił ten akt spadkowy.

Nawet w przybliżeniu nie można sobie wyobrazić strat, jakie społeczeństwo przez to ponosiło, gdy nie raz małoletnie dzieci rok i dłużej nawet pozostawały bez opieki, a sąd nic nie mógł poradzić, bo notaryusz nie nadesłał aktów spadkowych. Nasz biedny wieśniak nie raz był kilka razy w tygodniu w sądzie i kilka par butów schodził, zanim wyprosił, aby mu co zrobiono.

Niechaj jednak nikt nie myśli, że działo się to bezpłatnie, owszem za każdy akt spadkowy, gdzie zmarły pozostawił więcej, jak 100 złr. majątku, notaryusz był płacony wedle uznania sądu. Ale i nie można się dziwić notaryuszom, że nie spieszyli się z takiemi sprawami, gdy się weźmie na uwagę, że nieraz notaryusz jest sam, nie ma koncypienta, a mając wiele innych spraw intratniejszych, musiał takie sprawy zaniedbywać, gdzie często bezpłatnie akta spisywać miał.

Obecnie w tym kierunku ważna zaszła zmiana i jeżeli nowa procedura wiele znaczy, to reforma sądownictwa spadkowego, jaka teraz nastąpiła, znaczy bardzo wiele, a nawet dla ludności wiejskiej nie handlowej więcej, aniżeli nowa procedura. Reformę tę zawdzięczamy tylko

dr. Tchórznickiemu. Za jego to wpływem i staraniem **wydało ministerstwo sprawiedliwości dla Galicyi rozporządzenie,** aby przy wszystkich sądach powiatowych, z wyjątkiem sądów, znajdujących się w siedzibie trybunału, **odebrać notaryuszom delegacyę sądową do spisywania aktów spadkowych, a czynność tę ma nadal wykonywać sam sędzia, prowadzący dział spadkowy, lub inny urzędnik sędziowski.**

Rozporządzenie to pociąga za sobą nieobliczoną korzyść dla ludności wiejskiej. Nasz wieśniak już przyzwyczajony we wszystkich sprawach spadkowych słuchać ślepo tego sędziego sierocińskiego, jak go chłopi nazywają i nieraz na to, aby się zapytać, czy może sprzedać korzec kartofli lub chłopcu pupilowi buty kupić, musi iść aż do sądu, o 2 lub 3 mile oddalonego. A teraz, ten sędzia, tak przedtem dla ludu niewidzialny, będzie się z nim stykał bezpośrednio, na wsi, w jego chacie, wyda mu polecenia, jakie będą potrzebne, wszystko załatwi na miejscu, spisze akta, ustanowi opiekuna, odbierze przyrzeczenia, przesłucha świadków na treść ustnego testamentu, podzieli spadek i pogodzi wszelkie nieporozumienia rodzinne, a powróciwszy do domu, wyda tylko po zapłaceniu należytości, dekret dziedzictwa i sprawa spadkowa załatwi się **w jednym miesiącu,** lub i prędzej.

Sędzia spadkowy będzie w gminie co miesiąc lub co dwa miesiące, przez ten czas spraw spadkowych nazbiera się więcej i koszta komisyi sędziego rozdzielone być muszą na wszystkie sprawy. Więc gdy będzie miał 10 pertraktacyj do przeprowadzenia, a koszta wyniosą 10 złr., więc każda sprawa zapłaci 1 złr., podczas gdy przedtem notaryusz brał od każdej sprawy osobno nieraz 10 lub i więcej złr.

---

# Obrona Częstochowy.

### Ustęp z powieści Sienkiewicza „Potop.“

(Ciąg dalszy).

W kościele nie skończyło się poranne nabożeństwo, gdy huk niezwyczajny wstrząsnął powietrzem, szyby zadrżały, niektóre od samego wstrząśnienia wypadły z opraw, rozbijając się przeraźliwym dźwiękiem na kamiennej posadzce, a cały kościół wypełnił się kurzawą, powstałą z opadłego tynku.

Olbrzymie kolubryny przemówiły.

Rozpoczął się straszliwy ogień, jakiego jeszcze nie doznali oblężeni. Po skończonem nabożeństwie wypadli dopiero wszyscy na mury i dachy. Poprzednie szturmy wydały się tylko niewinną igraszką przy tem straszliwem rozpasaniu się ognia i żelaza.

Mniejsze działa grzmiały do wtóru burzącym. Leciały olbrzymie laskule, granaty, pęki szmat, przesyconych smołą, pochodnie, sznury ogniste. Dwudziesto-sześciofuntowe pociski odrywały blanki murów, uderzały w ściany, jedne grzęzły w nich, drugie wybijały dziury olbrzymie, odrywając tynk, glinowanie i cegły. Mury otaczające klasztor poczęły się tu i ówdzie rysować i rozszczepiać, a bite ciągle, bite bez przestanku coraz nowymi pociskami, groziły ruiną. Budynki klasztorne zasypywano ogniem

Grający na wieży czuli chwianie się jej. Kościół dygotał od ustawicznych wstrząśnień; w niektórych ołtarzach świece wypadły z lichtarzy.

Woda wylewana w niezmiernych ilościach na wszczynające się pożary, na rozpłomienione pochodnie, mury i kule ogniste, utworzyła w połączeniu się z dymem i kurzawą kłęby pary tak gęste, że świata z poza nich nie było widać. Poczęły się szkody w budynkach i na murach. Okrzyk „gore!“ rozlegał się coraz częściej wśród huku wystrzałów i świstu kul. Przy północnej baszcie zgruchotano dwa koła u armaty, jedno działo uszkodzone zamilkło. Jedna kula ognista wpadłszy do stajen, zabiła trzy konie i wszczęła pożar. Nietylko kule, ale złamki granatów padały tak gęsto, jak deszcz na dachy, na baszty i mury.

Po krótkiej chwili ozwały się jęki rannych. Szczególnym trafem poległo trzech młodzieniaszków, Janów. Przeraziło to innych obrońców, toż samo imię noszących, lecz wogóle obrona godna była szturmu. Wyległy na mury nawet niewiasty, dzieci i starcy. Żołnierze stali na murach z nieustraszonem sercem w dymie, ogniu, wśród ulewy pocisków i odpowiadali z zawziętością na ogień nieprzyjacielski. Jedni imali się kół, przetaczając działa w miejsca najbardziej zagrożone, drudzy spychali do wyłomów w murach kamienie, drzewo, belki, nawóz, ziemię.

Niewiasty z rozpuszczonemi włosami, z rozpaloną twarzą, dawały przykład odwagi i widziano takie, które goniły z konewkami wody za skaczącymi jeszcze granatami, mającymi tuż, tuż wybuchnąć. Zapał rósł z każdą chwilą, jakby ten zapał proch, dym, para, huk, fale ognia i żelaza miały własność go podsycać. Wszyscy działali bez komendy, bo słowa ginęły wśród okropnego łoskotu. Tylko suplikacye, śpiewane w kościele, górowały nawet nad głosami armat.

Około południa ogień ustał. Wszyscy odetchnęli, lecz wnet przed bramą zawarczał bęben i dobosz przysłany przez Mullera, zbliżywszy się do bramy, począł pytać, czyli ojcowie mają dosyć i czy chcą natychmiast się poddać? Odpowiedział sam ksiądz Kordecki, że się do jutra namyślą. Zaledwie odpowiedź doszła do Müllera, atak rozpoczął się na nowo i ogień zdwoił się jeszcze.

Od czasu do czasu głębokie szeregi piechoty podsuwały się pod ogniem ku górze, jak gdyby miały ochotę szturmu próbować, lecz dziesiątkowane z dział i rusznic, wracały za każdym razem szybko i w nieładzie pod własne bateryę. I jak fala morska zaleje wybrzeże, a cofając się zostawia na piasku porosty, małże i rozmaite szczątki pokruszone w topieli, tak każda z tych szwedzkich fal odpływając, zostawiała po sobie trupy, rozrzucone tu i owdzie po pochyłości.

Müller nie kazał strzelać do baszt, ale w długość murów, gdzie opór bywa najsłabszy. Jakoż czyniły się gdzieniegdzie znaczne szczerby w murach, niedość jednak wielkie, aby piechota rzucić się przez nie do wnętrza mogła.

Nagle zaszedł wypadek, który położył tamę szturmowi.

Byłoto pod wieczór, przy jednem z większych dział stał artylerzysta szwedzki z zapalonym lontem, który właśnie miał do działa przykładać, gdy kula klasztorna ugodziła go w same piersi, lecz ponieważ przyszła nie pierwszym impetem, ale z potrójnego odbicia o lody, nagromadzone na szańcu, rzuciła tylko człowieka wraz z lontem o kilkanaście kroków. Ten upadł na otwarty jaszcz, w części jeszcze napełniony prochem. Wnet

huk straszliwy rozległ się i masy dymu pokryły szaniec. Gdy opadły, okazało się, że pięciu artylerzystów straciło życie, koła od armaty zostały uszkodzone, resztę zaś żołnierzy strach ogarnął. Na razie trzeba było ogień z tego szańca zawiesić, ponieważ zaś gęsta mgła przesyciła ciemności, więc zawieszono go i na innych.

Nazajutrz była niedziela.

Ministrowie luterscy odprawiali po okopach swe nabożeństwo i działa milczały. Müller znów pytał bezskutecznie ojców: czyli nie mają dosyć? Odpowiedziano, że zniosą i więcej.

Tymczasem oglądano szkody w klasztorze. Były znaczne. Oprócz ludzi zabitych spostrzeżono, że i mur tu i owdzie został nadwątlony. Najstraszliwszą okazała się jedna olbrzymia kolubryna, od południowej strony stojąca. Zbiła ona mur do tego stopnia, naodrywała tyle kamieni, cegieł, że łatwo było przewidzieć, iż jeśli ogień potrwa jeszcze parę dni, znaczna część muru obsunie się i runie.

Wyłomu, jakiby się w takim razie uczynił, nie możnaby już założyć ani belkami, ani ziemią, ani nawozem. To też ksiądz Kordecki spoglądał okiem pełnem troski na owe spustoszenia, którym nie był w stanie zapobiedz.

Tymczasem w poniedziałek poczęto znów atak i olbrzymie działo szerzyło dalej wyłom. Spotykały jednak i Szwedów różne klęski. O zmierzchu tego dnia szwedzki puszkarz zabił na miejscu siostrzeńca Müllera, którego jenerał kochał jak własnego syna i zamierzał mu wszystko przekazać, począwszy od nazwiska i sławy wojennej, skończywszy na fortunie. Lecz tem bardziej zapaliło się serce starego wojownika nienawiścią.

Mur przy południowej baszcie tak już był popękany, że w nocy poczęto przygotowania do szturmu ręcznego. Żeby tem bezpieczniej piechota mogła zbliżyć się do twierdzy, kazał Müller rzucić w ciemności cały szereg małych szańców aż do samej pochyłości. Lecz noc była widna, a biały blask od śniegu zdradzał ruchy nieprzyjaciela. Działa jasnogórskie rozpraszały robotników, zajętych ustawianiem tych parapetów, złożonych z faszyny, płotów, koszów i belek.

Na świtaniu spostrzegł pan Czarniecki gotową maszynę oblężniczą, którą już przytaczano ku murom. Lecz oblężeni zgruchotali ją działami bez trudu; nazabijano przytem tylu ludzi, że dzień ten mógłby zwać się dniem zwycięstwa dla oblężonych, gdyby nie owa kolubryna, wątląca ciągle mur z niepohamowaną siłą.

Następnych dni nastała odwilż i mgły roztoczyły się tak gęsto, że księża przypisali je działaniu złych duchów. Już nie można było dostrzedz ni machin wojennych, ni przystawianych parapetów, ni prac oblężniczych. Szwedzi zbliżali się pod same mury klasztorne. Wieczorem Czarniecki, gdy przeor obchodził jak zwykle mury, wziął go na bok i rzekł zcicha:

— Źle, ojcze wielebny. Nasz mur dłużej, niż dzień nie wytrzyma.

— Może też te same mgły i im strzelać przeszkodzą, — odrzekł ksiądz Kordecki — a my tymczasem szkody jakoś naprawimy.

— I mgły nie przeszkodzą, bo owo działo raz narychtowane, może prowadzić i pociemku dzieło zniszczenia, a tu gruzy walą się i walą.

— W Bogu nadzieja i w Najświętszej Pannie.

— Tak jest! A żeby tak wycieczkę uczynić?.. Choćby ludzi natracić, byle tego smoka piekielnego udało się zagwoździć?

Wtem zaczerniała jakaś postać w tumanie i Babinicz pojawił się koło rozmawiających.

— Patrzę, kto mówi, bo twarzy nie można o trzy kroki rozpoznać — rzekł. — Dobry wieczór, ojcze czcigodny. A o czem mowa?

— Mówimy o tem dziale. Pan Czarniecki radzi wycieczkę... Te mgły szatan rozwiesza... już nakazałem egzorcyzmy...

— Ojcze kochany — rzekł pan Andrzej. — Od czasu jak nam trzaska mur kolubryna, ciągle o niej myślę i coś mi przychodzi do głowy... Wycieczka na nic... Ale chodźmy gdzie do izby, to wam moje zamysły wyłuszczę.

— Dobrze, — odrzekł przeor — chodźcie do mojej celi.

Wkrótce potem zasiedli przy sosnowym stole w ubogiej celi przeorskiej. Ksiądz Kordecki i pan Czarniecki pilnie patrzyli w młodą twarz Babinicza; on zaś rzekł:

— Tu wycieczka na nic. Spostrzegą i odbiją. Tu jeden człowiek musi poradzić!

— Jakto? — spytał pan Czarniecki.

— Musi jeden człowiek pójść i to działo prochami rozsadzić. A może to uczynić, póki takie mgły panują. Najlepiej, żeby poszedł w przebraniu. Tu kolety podobne do szwedzkich są. Jak nie będzie można inaczej, to się między Szwedów wśliznie, jeśli zaś z tej strony szańca, z której pysk owej kolubryny wygląda, nie ma ludzi, to jeszcze lepiej.

— Dla Boga! cóż ten jeden człowiek uczyni?

— Potrzebuje tylko puszkę z prochem działu w pysk włożyć, z nitką prochową wiszącą i nitkę podpalić. Gdy prochy buchną, działo kaduk... chciałem powiedzieć: pęknie!

— Ej, chłopcze! co też gadasz? Małoż to prochu codzień w nie tkają, a nie pęka?

Kmicic roześmiał się i pocałował księdza w rękaw habita.

— Ojcze kochany, wielkie w was serce, bohaterskie i święte...

— At, daj pokój! — przerwał ksiądz.

— I święte! — powtórzył Kmicic, — ale się na armatach nie znacie. Inna rzecz, gdy prochy buchną w tyle armaty, bo wtedy wyrzucają kule i impet przodkiem wylatuje; ale gdy kto niemi wylot zatka i zapali, to niemasz takiego działa, któreby ten eksperyment wytrzymać mogło. Spytajcie się pana Czarnieckiego. Toż gdy w rusznicy śniegiem się rura zapchnie, już ją przy strzale impet rozsadzi. Taka to siła szelmowska! Cóż dopiero, gdy cała puszka przy wylocie wybuchnie?.. Spytajcie pana Czarnieckiego.

— Tak to jest. Nie są to żadne dla żołnierza arkana! — rzekł Czarniecki.

— Owóż, gdyby tę kolubrynę rozsadzić — mówił dalej Kmicic, — wszystkie inne furda!

— Widzi mi się to rzecz niepodobna — rzekł na to ksiądz Kordecki, — bo najprzód, kto to się podejmie uczynić?

— Okrutny jeden ladaco — odrzekł pan Andrzej, — ale rezolutny kawaler, zowie się Babinicz.

— Ty? — zawołali razem ksiądz i pan Piotr Czarniecki.

(Ciąg dalszy w następnym numerze).

# Krzywdy i nadużycia.

**Interpelacya** d-ra Danielaka i tow. do J. E. Ministra sprawiedliwości wniesiona dnia 6. czerwca b. r. w sprawie nieukaranych zbrodni, wykrytych podczas procesu o **wielicką Kasę** powiatową: W procesie krakowskim o wielicką Kasę świadek Józef Broniowski zeznał pod przysięgą, że on jeszcze w roku 1897 zrobił doniesienie do ck. Prokuratoryi Państwa w Krakowie o defraudacyach i oszustwach w Kasie wielickiej. Ck. Prokuratorya Państwa jednak doniesienie jego rzuciła do kosza i zamiast od razu wkroczyć i winnych pociągnąć do odpowiedzialności, Prokuratorya łotrowstwa zakryła milczeniem, pozwoliła dalej rabować i przyczyniła się tem samem do powiększenia defraudacyi i strat na nieszczęście powiatu wielickiego. Naszem zdaniem, postąpiła tak prokuratorya, aby ochronić od kryminału Karola Czecza, marszałka powiatu, który był wspólnikiem głównego defraudanta Wimmera w różnych przedsiębiorstwach. Wimmer przedkładał Kasie fałszywe weksle na krociowe sumy, za zgodą i na polecenie dyrektora Kasy, p. Karola Czecza sumy te Wimmerowi Kasa wypłacała — a następnie za pomocą tych samych pieniędzy p. Czecz razem z Wimmerem budował baraki wojskowe w Rzeszowie, kupował spirytus od Ignacego Kugla, kupował lasy, prowadził cegielnie i t. d. Dalej zeznał Kompit, że: 1) Czecz Karol kazał mu robić fałszywe bilanse, aby oszukiwać skarb państwa i płacić mniejsze podatki. Do tego sam Czecz w sądzie się przyznał. 2) Kompitowi po wykryciu defraudatów kazał Czecz uciekać za granicę, bo się obawiał jego zeznań. 3) Czecz przez 7 miesięcy zakrywał zbrodnie, licząc od chwili, gdy mu urzędownie doniesiono, że w Kasie jest za 180.000 koron fałszywych weksli. 4) Czecz nabył od defraudanta Pinkusa Blatta sumę 5000 złr. wbrew przepisom. 5) Czecz był na posiedzeniu Dyrekcyi, na którem zamiast złodziei oddać do kryminału, uchwalono dla nich kredyt dodatkowy. 6) Czecz podpisał bilans za rok 1898 chociaż wiedział, że jest fałszywy. 7) Stanisław Gruszczyński, likwidator Kasy przyznał się, że pomagał fałszować podpisy na wekslach — i dotąd chodzi wolno. To, cośmy wyżej przedstawili, a co na jaw wyszło podczas rozprawy karnej w Krakowie — wystarcza chyba aż nadto, aby pana Karola Czecza pociągnąć do odpowiedzialności karnej jako głównego sprawcę. W innym kraju już dawno Czecz byłby razem z innymi siedział na ławie oskarżonych, niestety, w Galicyi nawet Prokuratorya Państwa tuszowała oszustwa, aby chronić marszałka powiatowego, p. Karola Czecza. W Galicyi jest sprawiedliwość i są kryminały, ale nie dla rządzącej kasty i dla jej satelitów. Wielcy złodzieje i defraudanci galicyjscy, jeżeli nie uciekną dosyć wcześnie — to chodzą wolno i swobodnie bezkarnie. Podczas rozprawy o Kasę wielicką prokurator Trzaskowski irytował się i rzucał, ile razy jaki świadek zaczął cokolwiek zeznawać, coby mogło potępić Czecza. — Nic więc dziwnego, że społeczeństwo zachodniej części kraju jest oburzone na to postępowanie i gwałtem domaga się równej miary dla wszystkich. Podpisani przeto zapytują Waszą Excellencyę: Czy gotów jest kazać pociągnąć do odpowiedzialności Karola Czecza i Gruszczyńskiego i tow. za łotrowstwa popełnione w Kasie wielickiej? Czy J. E. jest gotów wyjaśnić postępowa-

nie Prokuratoryi Państwa w Krakowie, która zbrodnie tolerowała? Czy gotów poczynić co trzeba, aby w Galicyi wymiar sprawiedliwości był równy dla wszystkich? Podpisy posłów.

**Małysiak nauczyciel w Roczynach podłym denuncyantem.** W dniu 10. kwietnia b. r. doniósł Małysiak do ck. Starostwa pod l. 11.344 skargę przeciw p. Józefowi Smazie z Roczyn, jakoby tenże w dniu 24. marca b. r. polował na zające. Józef Smaza, czując się niewinnym, zaskarżył Małysiaka o oszczerstwo do ck. Sądu w Andrychowie. Ck. Sąd wyznaczył rozprawę na dzień 1. czerwca b. r., przy której Małysiak na świadków postawił dzieci szkolne: syna swego 10-letniego chłopca, Władysława Babińskiego, Jana Srybnego i Stanisława Smazę na okoliczność, że widzieli Józefa Smazę polującego dnia 24. marca b. r. Świadkowie Jan Srybny, Władysław Babiński, sprawiedliwe dzieci zeznały, że nic nie widziały, natomiast synalek Małysiaka, dobrze ćwiczony w kłamstwie przez ojca, zeznał, że widział polującego Józefa Smazę w dniu 24. marca b. r. Tak samo zeznał Stanisław Smaza, chłopczyk 11-letni. Po złożeniu świadectw wyrok nie zapadł, bo Józef Smaza zażądał zawezwać innych świadków. Cóż się ale dzieje? Następnego dnia po owym terminie chłopczyk, Stanisław Smaza, mając niespokojne sumienie, że źle zrobił, oświadczył przed swą matką, przed Józefem Mikołajkiem, Julianną Mikołajkową i Antonim Rajdą, że przed terminem ku wieczorowi zostawił go Małysiak w klasie, wziął do ręki trzcinę i powiedział mu tak: „jutro będziesz za świadka stawał i musisz tak świadczyć, żeś widział 24. marca Józefa Smazę na polowaniu, a jakbyś tego nie powiedział, to tym kijem będę cię bił zawsze!“ Ponieważ bałem się bicia w szkole, dlatego złożyłem fałszywe świadectwo przeciw Józefowi Smazie. Marya Smaza, matka tego chłopczyka, zaskarżyła Małysiaka do ck. Sądu w Andrychowie o gwałt przez groźbę ubicia na chłopcu dokonany, a Józef Smaza tak samo doniósł to łajdactwo ck. Prokuratoryi Państwa. Maryanna Smaza również doniosła o tem ck. Radzie szkolnej w Wadowicach i oświadczyła, że do Małysiaka zaprzestanie posyłać dzieci, boby je wyadukował na oszustów. Za co też Bóg ukarał biedną gminę Roczyny takim nauczycielem.

(Co za ohydny człowiek ten Małysiak. Dzieci szkolne zmuszać do składania fałszywego świadectwa w Sądzie! Ten jeden fakt wystarcza, aby Małysiaka natychmiast zasuspendować i do kryminału zamknąć! Czy jeszcze długo władze szkolne będą się namyślać?! *Red.*).

Skonfiskowała ck. Prokuratorya Państwa.

# ZAMKNIĘCIE RADY PAŃSTWA.

To, czego się należało spodziewać, stało się. **Rada Państwa została zamkniętą z piątku na sobotę o godzinie 1-szej po północy.** Pokrzywdzeni Czesi, którym odebrano język czeski w urzędach czeskich, aby się tylko przypodobać Niemcom — od obstrukcyi odstąpić nie chcieli i nie ustąpili, a gdy Koło polskie razem z Niemcami chwyciło się gwałtów, aby obstrukcyę złamać, Czesi również chwycili się gwałtów i doprowadzili do zamknięcia Rady Państwa. Oto, co piszą z Wiednia o ostatniem posiedzeniu Izby:

Posiedzenie zaczęło się o godzinie $1^1/_2$ popołudniu. Przez całe godziny trwało dosłowne odczytywanie interpelacyj, przeważnie czeskich. Tymczasem w rozmaitych ubikacyach parlamentu odbywały się ważne narady. Narady te trwały przez kilka godzin. Nagle zabrzmiały dzwonki elektryczne w całym parlamencie. Wszyscy pospieszyli do sali posiedzeń (była właśnie godzina $6^1/_2$), prezydent oświadcza, że zamierza tylko przystąpić do zamknięcia posiedzeń. Wówczas Młodoczech Janda zażądał, ażeby natychmiast wziąć pod obrady wnioski w sprawie pomocy dotkniętym klęskami elementarnemi. Izba uchwaliła te wnioski jednogłośnie. Wtem zabrzmiała bomba.

P. Zallinger (z katolickiego stronnictwa ludowego) żąda, aby przystąpić teraz do porządku dziennego, t. j. do rozprawy nad zmianą ustawy przemysłowej, lecz prezydent Fuchs oświadczył, że zapyta Izbę, czy zgadza się z wnioskiem Zallingera. Czesi protestują przeciw temu, twierdząc, że głosowanie sprzeciwia się regulaminowi i że wniosek Zallingera jest niedopuszczalny.

Prezydent odparł takie tłumaczenie regulaminu i oświadczył, że zarządza głosowania. W tej chwili zerwała się w r z a w a, jakiej może jeszcze nigdy nie słyszały mury tej Izby. Czesi krzyczą: N i e  g ł o s o w a ć! M y  n i e  d o p u ś c i m y  d o  t e g o!

Prezydent powstaje i chce ponownie zarządzić głosowanie, lecz Czesi podnoszą nowe hałasy i zaczynają walić pięściami w pulpity. Każdy czuje, że stoimy tuż przed katastrofą, że zbliżają się ostatnie godziny parlamentu. Koncert pulpitowy coraz to potężnieje. W pół godziny cały rząd ławek, w którym siedzi Doleżal. rozbity w kawały. Doleżal podaje sąsiadom drzazgi i rozdziela poszczególne kawałki, aby w ten sposób dostarczyć kolegom instrumentów do wywołania stuku. W sali było jeszcze ciemno. Wtem nagle zajaśniały odrazu wszystkie lampy elektryczne Równocześnie słychać trzask kilku ław, druzgotanych silnemi pięściami Czechów.

Horzica i Doleżal stają tuż przed Jaworskim i z całej siły walą pięściami w ławkę. Jaworski rzuca na nich pogardliwy wzrok, powoli wychodzi z sali. Tymczasem w koncert pulpitowy wmięszały się trąbki, gwizdawki i inne instrumenty — istna piekielna muzyka.

Podczas całej tej sceny prezydent Fuchs siedzi spokojnie na swojem miejscu, zażywając od czasu do czasu dozę tabaki. W całej Izbie niesłychane wzburzenie. Wtem kilku Czechów wnosi nowe instrumenty, mianowicie: blaszane pokrywki garnków, kamienne garnki, laski i t. p. Gregr, Doleżal, Brzorad, Horzica, Koenig i inni, bębnią już przeszło dwie godziny bez przerwy. Teraz zaczyna się bębnienie w takt, zupełnie jak muzyka, której towarzyszy śpiew. Pomiędzy dwiema ławkami kładą kij, na nim za-

wieszają blaszaną pokrywkę garnka i zaczynają w nią miarowo uderzać. Na pięć minut przed godziną 9 tą wieczór Młodoczech Koenig intonuje czapstrzyk. Wszyscy Czesi śpiewają hymn ludowy, a następnie swoją pieśń narodową „Kdo domow mój.“ Wybija godzina 10. Wrzawa wzrasta, a z nią wzburzenie w całej Izbie. Wreszcie rozchodzi się w Izbie wieść, że prezydent gabinetu Koerber wrócił, właśnie z audyencyi od cesarza i zwołał natychmiast w gmachu parlamentu radę gabinetową. Wszyscy oczekują z całem naprężeniem, co teraz nastąpi? Ogólne jest mniemanie, że lada chwila przyniesie stanowcze rozstrzygnięcie.

Lueger w otoczeniu grona towarzyszy klubowych udaje się przed ławy czeskie, przez pewien czas przysłuchuje się spokojnie śpiewowi, następnie wyjmuje z kieszeni garść drobnej monety i rzuca ją Czechom ze słowami:

— Macie tu czescy muzykanci!

Potem opuszcza salę.

Godzina 11½. Czesi widocznie znużeni, robią małą przerwę. Prezydent dzwoni i chce zarządzić głosowanie, ale w tej chwili zaczyna się na nowo wrzawa, stukanie, trąbienie, śpiew i gwizdanie. Czesi grożą wprost prezydentowi, którego otacza wielu posłów. Wtem wszczyna się bójka. Chrześcijańsko-socyalny chłop Kletzenbauer przechodzi przed ławami Młodoczechów i śmieje się Doleżalowi w twarz. Doleżal wymierza mu cios z tyłu. Kletzenbauer chwyta doleżala za gardło i kilka razy uderza go silnie pięścią. Inni posłowie rozdzielają walczących. Doleżal ma całą twarz zsiniałą i napuchniętą. Do wrzawy mieszają się głośne sprzeczki pomiędzy poszczególnymi posłami.

Poseł Wassilko woła, zwrócony do Czechów: To jest żakostwo! Antysemici wołają: Spokojnie, czescy muzykanci! Musi się głosować! Czesi ściskają pięści, wołając do prezydenta: Nie waż się pan zarządzać głosowania!

Godzina 12 w nocy. Właśnie rozchodzi się wieść, że rada gabinetowa skończona. Koerber udał się ponownie do cesarza. Zbliża się chwila stanowcza. Wrzawa trwa dalej w tej samej sile, w Izbie gorączkowe naprężenie. O godzinie 12 wprowadzili Czesi nowe instrumenty. Wzięli mianowicie szklanne podstawki do szklanek i uderzyli w nie dwanaście razy z rzędu, poczem na nowo zaczęli piekielną wrzawę.

Wśród posłów tymczasem wzrasta wzburzenie i niepokój. Wszyscy wiedzą, że prez. Koerber znajduje się właśnie u cesarza o tak niezwykłej porze, już drugi raz w ciągu bieżącej nocy. Już ta sama okoliczność dowodzi niezwykłej sytuacyi. Na nic już prawie nikt nie uważa, lecz wszyscy czekają z naprężeniem rozstrzygnięcia. O godzinie 12¼ zauważono wielki ruch wśród posłów. Właśnie w tej chwili powrócił Koerber od cesarza, a zabawiwszy chwilę w pokoju dla ministrów, udał się do sali posiedzeń, dokąd także pospieszyli wszyscy posłowie, zgromadzeni w kuloarach. Po pojawieniu się Koerbera Czesi ze zdwojoną siłą walą w pulpity i wrzeszczą. Wtem prezydent dzwoni, a z miejsca podnosi się Koerber. W jednej chwili robi się cisza, jak makiem siał.

**Koerber blady, jak ściana, głosem drżącym, przerywanym mówi: „Z najwyższego polecenia ogłaszam sesyę jako zamkniętą.“**

Kilku Czechów woła brawo! antysemici obrzucają jeszcze Czechów obelgami, poczem sala powoli opróżnia się. Okrutna zabawa skończona. Parlament wydał ostatnie tchnienie.

Poszczególni posłowie zostają jeszcze w sali, zbierając relikwie obstrukcyjne i gwizdawki, kawałki blachy, drzazgi z ław, kawałki pulpitów i t. p. na wieczną pamiątkę.

* *

Parlament zatem przestał istnieć. Co dalej będzie — nikt nie wie, ani się domyśla, nie wie rząd, nie wiedzą posłowie. Rząd nie ma pojęcia, jakby wybrnąć z tego położenia. — Teraz na końcu należy zapytać, kto także winien, że do tego doszło? Winno Koło polskie w Wiedniu, winna ta polityka lokajska, którą Koło i jego prezes Jaworski prowadzą.

---

# Kronika i rozmaitości.

**Rada pow. krakowska śpi!** Z Zielonek donoszą, że czterech gospodarzy przywłaszczyło sobie drogę gminną i nie pozwalają nikomu przez nią na przejazd. Zwierzchność gminna w Zielonkach, nie mogąc patrzeć obojętnie na tę grabież, a nie chcąc sprawy oddawać do ck. Sądu, wniosła podanie jedno we wrześniu zeszłego roku, a drugie w marcu tego roku, do Rady krakowskiej, jako do władzy, której **obowiązkiem** jest czuwać nad całością dobra gminnego, z prośbą, aby Rada pow. wglądnęła w tę sprawę i nie pozwoliła na bezprawne przywłaszczenie osobom prywatnym drogi gminnej. Niestety, Rada powiatowa ani na pierwsze ani na drugie podanie nie **raczyła** dać żadnej odpowiedzi. I pocóż nam ta Rada powiatowa, kiedy nic nie robi i nie chce nic robić! Możeby tę panią który z pp. Radców pow. obudził z tego gnuśnego snu i przypomniał jej obowiązki, jakie na niej ciążą, by **darmo** nie **pożerała** grosza chłopskiego.

**Mściwy wójt.** Kazimierz Trzaska, gospodarz z Brzezinki koło Rudawy, wystawił sobie dom zeszłego roku w czerwcu i poszył go słomą. Przy rozpoczęciu budowy był obecnym tamtejszy wójt Jan Węgiel, jednak nie zrobił Kaz. Trzasce żadnej uwagi ani żadnego przypomnienia. Kiedy dom już stanął pod dachem, wówczas wójt przesyła Trzasce pismo, zabraniające mu stawiać domu bez zezwolenia Zwierzchności gminnej, a równocześnie donosi do Rady powiatowej chrzanowskiej, że Trzaska stawia dom na drodze gminnej, co jest nieprawdą, gdyż to był plac, na którym poprzednio stała jego stodoła. Rada pow. nakazuje wstrzymanie dalszej budowy. Trzaska zrobił rekurs do Rady pow., która, jako odpowiedź, poleciła mu postarać się o zezwolenie gminy na budowę. Gosp. Trzaska wnosi podanie do gminy. P. wójt Węgiel zażądał planu na dom od Trzaski, chociaż dotąd tego od nikogo nie wymagał. Gosp. Trzaska zrobił pisemne przedstawienie do gminy, że tego uczynić nie może, boby to pociągło znaczne koszta, a zresztą dom już stoi. Wójt jednak na to przedstawienie zagroził zburzeniem domu, jeśli Trzaska nie zastosuje się do jego rozporządzenia. Gosp. Trzaska wniósł rekurs przeciw temu do Rady pow., ale wójt, nie czekając na załatwienie rekursu, kazał dom Trzaski d. 6. czerwca b. r. rozebrać i gosp. Trzaska nagle znalazł się pod gołem niebem.

(Panie wójcie, czy się to godzi z nieświadomości brata korzystać w celach osobistej zemsty? Czemu to p. wójt zaraz z początku nie zabronił budowy? Czemu p. wójt nie czekał na załatwienie rekursu przez Radę pow.? Gosp. Trzaska niech uda się do Rady pow. a następnie do ck. Sądu o odszkodowanie za poniesioną szkodę, jeśli w istocie rzecz się ma tak, jak nam przedstawiono. *Red.*)

**Papież chory.** Z Rzymu donoszą, że papież przeziębił się i leży w łóżku. Za poradą doktora Lapponiego zapowiedziane audencye odłożono.

**Dymisya ministrów.** W gabinecie wybuchło częściowe przesilenie. Minister dla Galicyi, dr. Piętak, podał się do dymisyi. Jak słychać przyczyną dymisyi Piętaka jest to, iż nie zgadza on się z przyszłym programem rządu. Przypuszczają, że oprócz Piętaka podadzą się także do dymisyi dr. Rezek i minister oświaty dr. Hartel. O zamiarach rządu krążą rozmaite pogłoski. Słychać, iż nietylko będzie Rada państwa rozwiązana, ale także rozpisane nowe wybory na podstawie zupełnie nowej ordynacyi wyborczej.

**Wolf przeciw Austryi.** Na walnem zgromadzeniu „Związku wszechniemieckiego“ wygłosił austryacki poseł do Rady państwa Wolf gwałtowną mowę przeciw Austryi. Między innemi powiedział: „Państwo nic nas nie obchodzi. Prawdopodobnie obecne prawo wyborcze wkrótce wezmą dyabli, a wówczas wejdziemy do parlamentu w sile 28 do 30 ludzi. W państwie, które będzie rządzone w duchu Bismarka, widzimy nasze zbawienie. Gdy u nas wszystko idzie w strzępy, wiemy przynajmniej, że my nie spadniemy w przepaść, mamy bowiem w Niemczech potężną podporę.

**Z Przemyśla** telegrafują dn. 9. b. m. Lokal redakcyi *Głosu Przemyskiego* znowu otoczony policyą. Przy maszynie czuwa agent policyjny. Tłumy zalegają ulice, czekając na numer. Przed redakcyą odbyły się burzliwe sceny. Tłum wtargnął do drukarni i rozchwytał lotem cały nakład, mimo oporu policyi, poczem wzniósł burzliwe okrzyki na cześć redakcyi.

**Strejk robotników kolejowych.** Piszą nam z Buczacza: W zeszłym tygodniu mieliśmy na tutejszej linii kolejowej strejk robotników kolejowych. Zażądali oni podwyższenia wynagrodzenia dziennego z 50 ct. na 70 ct. Szef sekcyi, inżynier Helden, sprowadził robotników z Monasterzysk i Dżuryna i tych płacił po 70 ct., tamtych zaś oddalił. W następstwie tego wydaleni zaczęli na przybyszów nalegać, ażeby się ustąpili. W sprawę wdała się żandarmerya, która trzech robotników aresztowała. Robotnikom podwyższono ich wynagrodzenie na 55 ct. dziennie.

**Z Przemyśla** piszą: Kąpiąc się w Sanie, przy skoku z brzegu, nadział się robotnik Russil na pal podwodny. Pal rozporał brzuch nieszczęśliwego, wnętrzności wyszły na wierzch. W stanie beznadziejnym odwieziono Russila do szpitala. Łożysko Sanu pod Przemyślem zasiane jest literalnie palami podwodnymi, pozostałymi z dawnych obwarowań brzegów i młynów. Ten okropny wypadek zniewoli może starostwo do drobnego wydatku na oczyszczenie rzeki z zdradliwych palów.

**Z targów zbożowych.** Kraków, dnia 12. czerwca. Płacono za 100 kilogramów netto: Pszenica od 15·— do 17·50 ; — Żyto od 13·10 do 14·10 ; — Jęczmień od 12·50 do 12·70 ; — Owies z opłatą akcyzową od 13·40 do 14·40 ; — Groch od 17·— do 24·— ; — Tatarka od 14·— do 17·— ; — Proso od 10·— do 11·50 ; — Fasola od 14·— do 21·— ; — Jagły od 19·— do 25·— ; — Siano od —·— do 8·80 ; Słoma od —·— do 3·60 ; — Koniczyna na paszę od —·— do 9·60 ; — Ziemniaki za hektolitr od 4·80 do 5·20 ; — Jaja za kopę od 2·30 do 2·80 ; — Masło za garniec od 8·— do 8·80. Wszystko liczono w koronach.

## Odpowiedzi Redakcyi.

**P. Azarkiewicz.** Nic więcej poradzić nie możemy. Proście naczelnika, albo jedźcie do samego p. dyrektora i jego proście.

**P. Kościołek.** Domagamy się zniesienia Rad powiatowych, a nie samych Wydziałów powiatowych. Zniesienie Wydziałów jest niemożliwe, bo gdy jest Rada, to musi być i Wydział. Otóż należy dążyć do zniesienia Rad, a tem samem i Wydziałów. Przecież Wydział wybiera Rada. Domaganie się, aby zniesiono same tylko Wydziały, jest nonsensem.

**P. Noga.** Gazetkę regularnie Panu wysyłamy. Brakujące numera posłaliśmy powtórnie.

---

**Za ogłoszenia nie bierze Redakcya żadnej odpowiedzialności.**



---

**Przypominamy naszym szanownym prenumeratorom,** którzy zapłacili prenumeratę za pół roku, że obecnie powinni nadesłać drugą półroczną prenumeratę w kwocie **1 złr.** Lepiej wcześnie zapłacić, aby nie doznać przerwy w otrzymaniu gazety. Jeżeli kto nie chce otrzymywać *Obrony Ludu* w drugiem półroczu, to niech napisze kartkę, abyśmy mu na próżno gazety nie wysyłali i nie narażali się na straty. Do czytania gazety nikogo nie zmuszamy.

Pieniądze należy nadsyłać pod adresem:

**Administracya „Obrony Ludu" w Krakowie.**

**TYLKO 1 złr. DO KOŃCA ROKU!**

Każdy nowy prenumerator, który zaraz nadeśle 1 złr., otrzymywać będzie *Obronę Ludu* co tygodnia do końca roku.

Wydawca: **Franciszek Ptak.** — Redaktor naczelny: **Ks. Andrzej Szponder.** — Redaktor odpowiedzialny: **Dr. Michał Danielak.** — Drukiem J. R. Łakocińskiego w Krakowie.